

Przypisy

W maju 1995 r. mija 40 lat pracy naukowej prof. dr. Janusza Zawodnego. Drukowany obecnie tekst obejmuje obszerne fragmenty wypowiedzi Profesora w czasie dyskusji nad problematyką katyńską z udziałem dr. Jerzego Jackła, dr. Bożeny Łojek i prof. dr hab. Jacka Trznadla. Taśma magnet. w zbiorach NKHBZK (red.)

¹ Jan Nowak, *Kariera podchorążego „Misia”*, „Wiadomości”, nr 28 z 13.7.1980 r.

² *Hearings before the Select Committee to Conduct an investigation of the facts, avidence and circumstances of the Katyn Forest massacre* Washington 1952.

³ Janusz K. Zawodny, *Katyń*, Lublin — Paryż 1989, w. 272.

⁴ op. cit. 275

⁵ J. Nowak. op. cit.

JACEK TRZNADEL

Warszawa

JÓZEF MACKIEWICZ I INNI PISARZE ŚWIADKOWIE KATYNIA

Właściwą materię książek Józefa Mackiewicza stanowiła historia, nawet wtedy, gdy — rzadko, na przykład w nowelach — zajmował się przede wszystkim ludzką psychologią. A za historię Mackiewicz miał prawie wyłącznie to, co było związane z historią Polski, a nawet tylko to, co działo się na kresach Rzeczypospolitej, mówiąc szeroko: w Polsce wschodniej dwudziestolecia i na dawnych Ziemiach Zabrzanych. On sam określał to jako obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego, odrębny od Korony. Ta kresowa historia Polski to przede wszystkim historia zderzenia z Rosją. Ponieważ jednak Rosja za życia Mackiewicza przekształciła się w Rosję Sowiecką (nominalnego upadku komunizmu Mackiewicz nie dożył), tematem historii dla pisarza stało się okrutne zderzenie kresów Rzeczypospolitej z rzeczywistością sowiecką, z sowieckim najazdem. *Lewa wolna* mówi o najeździe bolszewickim dwudziestego roku, dylogia *Droga donikąd, Nie trzeba głośno mówić*, odbywa się na Wileńszczyźnie i na kresach północno-wschodnich w strasznym czasie drugiej wojny.

Dramat życia Mackiewicza, którym były oskarżenia o współpracę z propagandą hitlerowską, począł się z chęci dania świadectwa tej brutalnej obecności sowieckich okupantów na kresach Rzeczypospolitej. Opis mordu w Proweniszkach, to pierwszy z jego tekstów drukowanych w koncesjonowanym przez propagandę niemiecką „Gońcu Codziennym”, a inne teksty są także poświęcone problemowi sowieckiemu. Miało to być znamienne ostrzeżenie dla Polaków i wypełnienie luki, której akowska Polska podziemna nie wypełniała. Te kilka tekstów w „Gońcu Codziennym” kosztowało Mackiewicza wyrok śmierci, zawieszony

na szczęście przez komendanta AK okręgu wileńskiego, Wilka Krzyżanowskiego. Ostatnim tekstem drukowanym w „Gońcu Codziennym” — tym razem jakby za cichą zgodą władz AK — był reportaż z Katynia: *Widziałem na własne oczy*.

I tak się stało, że to co Mackiewicz zobaczył na własne oczy, jadąc 20 maja 1943 roku do Katynia, miało się stać nigdy nie mijającą obsesją pisarza i argumentem najważniejszym, ukazującym straszność sowieckiego ludobójstwa. Zbrodni tej nie poświęcił Mackiewicz żadnego utworu literackiego, stał się jedynie jej dociekliwym badaczem, pierwszym jej historykiem. Badaniu jej okoliczności, a także historycznych oddziaływań poświęcał artykuły i eseje do końca życia.

Badaczy i historyków Katynia jest legion. Ale pośród nich są tylko dwaj wybitni pisarze, którzy pisali o Katyniu jako świadkowie ekshumacji 1943 roku (jeśli nie liczyć Emila Skińskiego, który ogłosił tylko jeden reportaż). To Ferdynand Goettel i właśnie Józef Mackiewicz. To, co zrobił dla rozświetlenia ponurej ciemności Katynia Goettel, zawarte jest w jego książce *Lata wojny* (Londyn 1956), w postaci dwu rozdziałów, własnego reportażu-refleksji oraz przesłuchania Iwana Kriwoziercewa, najważniejszego świadka katyńskiego.

Mackiewicz nigdy nie przestał myśleć i pisać o Katyniu. I to jemu właśnie, jeszcze „na ziemi włoskiej”, w Ankonie w roku 1945, powierzono opracowanie „białej księgi” o zamordowaniu oficerów polskich. Pisarz beletrysta, który decyduje się uszczknąć drogocenne godziny swemu pisarstwu, by poświęcić je opracowaniu historycznemu, musi mieć ku temu ważne powody. Zdecydował się Mackiewicz na opracowanie książki o Katyniu, gdyż wiedział dobrze, że akt oskarżenia reżimu sowieckiego, w tej książce przez niego sformułowany, stanowi także podstawową przesłankę jego historycznej postawy jako pisarza. Większość jego książek artystycznych (nie mówiąc o esejach) — nie do pomyślenia jest bez obecnej w nich lub w ich tle refleksji nad istotą i praktyką komunizmu. A w praktyce komunizmu rosyjskiego, w samym centrum znajduje się ludobójstwo popełnione w Katyniu. Było ono niewątpliwie owym, parafrazując metaforę Josepha Conrada, komunistycznym „jądrem ciemności”.

Opisem Katynia i innych zbrodni sowieckich popełnionych na Polakach, potwierdzał także Mackiewicz swój związek w mate-

rii historycznej z polskością. Rozliczne bowiem były zbrodnie komunizmu i wiele byłoby innych dowodów ludobójstwa. Ale Mackiewicz interesowała przede wszystkim zbrodnia na Polsce, choć pisarz ten potrafił pochylać się i nad innymi ofiarami przemocy, jak świadczy przykład opisaney przez niego zdrady nad Drawą, popełnionej przez aliantów wobec kozackiej „kontry”.

Spisywanie prawdy z życia, reportaż historyczny — bo historykiem w akademickim znaczeniu pisarz nie był — nie kłóciło się z metodą prozy artystycznej Mackiewicz. Było jej częścią. Interesowały go przecież tylko zdarzenia z życia i przede wszystkim prawda historyczna. Ogłaszanie prawdy o zbrodni katyńskiej wyrażało jego program etyczno-polityczny, jakim była walka z komunizmem. Sprawa katyńska poświadczała także ugięcie się demokracji zachodniej przed komunizmem, wyrażające się w przemilczaniu, zamazywaniu i odsuwaniu na bok katyńskiego ludobójstwa. Jednocześnie sprawa katyńska po 1943 roku stanowiła dla Mackiewicz — i nie tylko dla niego — klasyczny przykład posługiwania się fałszerstwem historycznym przez ideologię komunistyczną i państwo sowieckie. Jeśli dobrze wczytać się w książki Mackiewicz, zwłaszcza te odnoszące się do drugiej wojny światowej — to pojawiające się tam komentarze do postaw komunistycznych są także komentarzami do kontekstu, w jakim popełniono i ukrywano zbrodnię katyńską.

Wróćmy do „białej księgi”, jakiej opracowania podjął się Józef Mackiewicz na zlecenie tak zwanego Biura Studiów przy II Korpusie gen. Andersa we Włoszech. Wszyscy znamy tę książkę, nosi ona tytuł *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*. Była wydawana bezimiennie, wiele razy, z przedmową gen. Andersa. Dlaczego nie nosi nazwiska pisarza? Sądzę, że z tego samego powodu, dla którego nie pomieszczano w kolejnych wydaniach żadnej relacji Mackiewicz (poza pierwszym wydaniem), a także Goetla. Część byłego rządu londyńskiego bała się prawdopodobnie panicznie wszelkich posądzeń o udział byłych „kolaborantów” w pracy nad katyńską „księgą”. Poszło to tak daleko, że z relacji Iwana Kriwoziercewa, koronnego świadka katyńskiego, relacji spisanej przez Ferdynanda Goetla, wykreślono informację, że był on w Gniezdowie członkiem niemieckiej *Ordnungsdienst* i że jego ojca rozstrzelało NKWD.

Jako autor *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów* zaczął

występować Zdzisław Stahl, były zleceniodawca Mackiewicza w Biurze Studiów, który po „odebraniu” książki Mackiewiczowi dokonał w niej prac redakcyjnych i uzupełnił ją o nowo znalezione materiały. Próbowano „odkupić” książkę od Mackiewicza, za cenę zrzeczenia się autorstwa, na co autor się nie zgodził, potem Mackiewicz myślał nawet o wytoczeniu procesu gen. Andersowi, pod którego nazwiskiem książka ukazała się we Francji. W końcu Mackiewicz zrezygnował ze wszystkiego, dla dobra sprawy polskiej. Do końca życia jednak podtrzymywał wersję o swoim autorstwie, nigdy nie zdemontowaną przez Stahla i wydawców.

O tym autorstwie świadczy mocno inna książka: *Mordercy z lasu katyńskiego*, podpisana nazwiskiem Mackiewicza, która ukazała się w przekładzie na osiem języków, począwszy od roku 1948 (wydanie niemieckie: *Katyn — ungesühntes Verbrechen*). Książka ta ukazuje swoim układem, rodzajem zebranego materiału, że jest inną wersją *Zbrodni katyńskiej*. Wersją, jak to sam Mackiewicz określił, bardziej potoczną, przystępną, bardziej dziennikarsko-eseistyczną. Konkurencja jednak *Zbrodni katyńskiej* sprawia, że wersja polska książki Mackiewicza nie ukazała się nigdy za życia autora, a pewne jej fragmenty były publikowane i tłumaczone na polski... z języka angielskiego.

Na szczęście zachował się maszynopis polskiego tekstu książki, z odręcznymi poprawkami autora. Tak już jest w Polsce, że dzieła największych czekają na druk w atmosferze obojętności całe dziesięciolecia. Lub w atmosferze wrogości, jak w wypadku Mackiewicza.

Chociaż Józef Mackiewicz powracał do sprawy katyńskiej przez całe życie, a ostatnim bodaj tekstem na ten temat jest posłowie do rosyjskiego tłumaczenia książki, napisane w roku 1983 (wydanie w Kanadzie w 1988 r.), a więc zaledwie dwa lata przed śmiercią pisarza, rozwój badań — zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich lat — zdystansował autora. Rzecz to zupełnie normalna. Przypominam sobie, jak musiałem przerabiać własne szkice o Katyniu, gdyż pojawiały się nowe dokumenty, odkrywające nowych świadków i fakty. Jednak podstawowa masa ocen ogólnych i szczegółowych, wniknięcie w tzw. fakty klasyczne zbrodni, następnie w historię międzynarodowej recepcji sprawy Katynia, w tajniki propagandy sowieckiej, czynią z tekstów Mackie-

wicza źródła klasyczne, których waga nigdy nie ulegnie pomniejszeniu i które pozostaną odniesieniem dla historyków. Tyczy to także faktu, że był Mackiewicz jednym z najbardziej przejmujących wyrazicieli reakcji opinii polskiej, polskiej świadomości i sumienia — wobec takiej narodowej klęski. Są zresztą sprawy, związane z Katyniem, którymi zajmował się tylko Mackiewicz. Tyczy to także czułego rejestrowania w swych esejach rozwoju wiedzy o zbrodni katyńskiej, demaskowania kłamstw propagandy sowieckiej, w czym sam odegrał dominującą rolę. W tym sensie książka jest także „kroniką” czterdziestu lat sprawy Katynia, od 1943 roku aż prawie po śmierć autora.

Dlatego to, co napisał Mackiewicz o Katyniu, dystansuje wszystko inne, co o Katyniu napisano. W tym też sensie, że to on właśnie na przestrzeni lat czterdziestu opisał wiernie świadomość historyczną, rozpiętą między prawdą a mitem Katynia. Popełniał omyłki, ale popełniał ich mniej, niż niektóre książki, uchodzące za wzorowe i wyprzedzające Mackiewicza w kontakcie z czytelnikiem w Polsce (prócz jego *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*). Te książki zresztą napisano już po jego podstawowych pozycjach, czerpano z niego, nie dorównując mu szerokością ujęć i analiz.

Ale dziś, ze względu na dostępność niektórych nowych dokumentów, które pewne domysły i dedukcje, co do szczegółowych faktów, zamieniły w ściśle konkretne pewniki, będziemy w tej książce szukać także, a czasem przede wszystkim — Mackiewicza-pisarza, którym był przecież nie tylko w swoich powieściach, ale także w esejach, artykułach i rozprawach historycznych.

Pisząc o Katyniu. Mackiewicz staje w szeregu bardzo wybitnych pisarzy historycznych, których teksty historyczne odległe od nudnej i pedantycznej naukowości czyta się z zapartym tchem, jak kawałek życia, tak jak czytano w XIX wieku Karola Szajnochę czy Ludwika Kubalę, przedstawicieli gatunku „opowiadanie historyczne”, czy „szkoły opowiadającej” lub w czasie ostatniej wojny i po niej na przykład Melchiora Wańkowicza. To właśnie przez ten typ pisarstwa, który przecież nigdy nie odejdzie bezpowrotnie, czytelnik dowiaduje się, że historia jest materią życia, a nie tylko jego — jak uczyli starożytni: nauczycielką (*magistra vitae*).

Nie suche fakty interesują więc Mackiewicza, ale ich pojawienie się zawsze z ludzką otoczką i ich znaczenie zawsze ludzkie, bez którego nie byłyby one dla pisarza interesujące. Tak jest w opisach ekshumacji katyńskich z 1943 roku, gdzie ważne jest wszystko: pejzaż, szczegół, sposób docierania wydarzeń do świadomości, wielowarstwowość historycznego znaczenia, ale i przeźrąliwa bezpośredniość faktów. Tak, powie ktoś, ale Mackiewicz był naocznym świadkiem tych wydarzeń. Znamy jednak wiele innych opisów pozostawionych przez świadków z katyńskiego lasu, żaden z nich nie pozostaje w pamięci, prócz — krótkiego niestety — opisu Ferdynanda Goetla. Bez opisów Mackiewicza dotyczących Katynia musielibyśmy dziś mówić: pisarza przy tym nie było.

Ale był. Chodzi o to, że był nawet tam, gdzie cielesnie go nie było. Przeżywamy wymowę realistycznych opisów takich szkiców, jak *Widziałem na własne oczy*, czy *Dymy nad Katyniem*, ale podobna, czasem wręcz powieściowa obrazowość towarzyszy szkicowi Mackiewicza o ludobójstwie sowieckim w Winnicy, gdzie pisarz wyszedł li tylko od niemieckiego raportu *Massenmord in Winnica*. Jeśli przeczytać stroniczki o Winnicy innego, wybitnego przecież pisarza, jakim jest Sołżenicyn, widać jak jego opis ustępuje Mackiewiczowi. A przecież Mackiewicz w zasadzie nie wymyśla fikcji, czasem tylko dynamizuje statyczny obraz przekazu, za pomocą kilku zaledwie kresek. Oto, jak uruchamia Mackiewicz dwa-trzy zdania relacji:

Kowal, zamieszkały przy ul. Podlinnej 10, był pierwszym który w marcu 1938 zapytał, ma się rozumieć tak niby, od niechcienia.

— *A co za tym płotem będzie?*

— *Park Kultury i Oddycha.*

— *Aha, no cóż, może i dobra rzecz...*

Ale w nocy wlaźł na drzewo, żeby zajrzeć do środka. Zobaczył wykopanych sześć dołów i zlaźł z drzewa. Tymczasem co noc zajeżdżały tam samochody ciężarowe, pokryte brezentem, i wyrzucały jakiś ładunek. Skrepka był zaprawdę dziwnym człowiekiem, bo po upływie roku jeszcze raz wlaźł na to samo drzewo: widzi, że za szeregami zasypanych już dołów powstał ich nowy długi rząd...

Jeszcze jeden, o nazwisku Hulewicz, ze stacji hydro-biologicznej, raz się zatrzymał, spojrział.

— *Ty! — krzyknął strażnik pod płotem — czego stanął! Proliwaj swoją drogą!*

Wróćmy do właściwego tematu katyńskiego. W preambule niejako swojej książki Mackiewicz opisuje niedotrzymanie układu kapitulacyjnego zawartego między obrońcą Lwowa gen. Langnerem i jego garnizonem, a sowieckim generałem Timoszenką, w wyniku czego oficerowie, którym obiecano swobodne odejście, zostali wywiezieni do Starobielska, a następnie zamordowani w Charkowie. Oto scena, gdy gen. Langner powraca ze swym adiutantem z Moskwy po nieudanym prócieście:

Lot powrotny do Lwowa odbywa się w lepszych warunkach atmosferycznych, ale pasażerowie, wyczerpani nerwowo, przecozajają niektóre widoki, jak na przykład linię kolejową, biegnącą od dawnej polskiej stacji granicznej Zdołbunów-Szepietówka, która z góry wygląda jak cienka niteczka. A szkoda. Gdyby się przyjrżeli baczniej, dostrzegliby niewątpliwie długie gąsieniczki wagonów towarowych, sunących w kierunku Berdyczowa i Kijowa, a za nimi pasmo dymów od lokomotyw, które ją ciągną z wysiłkiem. Co może być w tych wagonach? Towary, maszyny wywożone z Polski? Nie dojrzeć wprawdzie z tej wysokości, nie przebić wzrokiem dachu, ale domyśleć się było można, czy nie?... Nie! Oficerowie polscy, choć są zmęczeni i zdenerwowani, ale w gruncie rzeczy dobrej myśli. Wiozą przecie ze sobą uroczyste słowo generała Szaposznikowa.

Można więc sobie wyobrazić ich zdumienie, gdy we Lwowie dochodzi ich wieść, że znaczne kontyngenty rozbrojonnych oficerów i żołnierzy polskich już są po cichu wysyłane, rzekomo w głąb Rosji! (Całość eseju przytaczam dalej)

I tutaj znajdujemy ten sam tok, charakterystyczny raczej dla opisów powieściowych Mackiewicza, niż znanych mi relacji o gen. Langnerze i kapitulacji Lwowa. Jednocześnie właściwie brak tak zwanej fikcji. Nasuwa się wniosek, że szkice katyńskie Mackiewicza mogą być analizowane nie tylko jako „opowiadania historyczne”, gdy je porównać z Szajnochą, Kubalą, czy Wańkowiczem. Stanowią także znakomity materiał do analizy porównawczej konstrukcji fragmentów prozy powieściowej pisarza. Okazuje się, że są to rzeczy strukturalnie podobne, jeżeli nie jednorodne. U podstaw jednego i drugiego opisu leży owo zda-

nie, wypowiedziane przez pisarza przy okazji sporu z Włodzimierzem Odojewskim: „Tylko prawda jest ciekawa”.

Porównajmy, jest zestawienie porządku natury i porządku ludzkiego, który zadaje gwałt naturze — podobne jest w reportażu historycznym Mackiewicza i w jego prozie artystycznej. Oto opis katyńskiego lasu, maj 1943 roku:

Raptowne zahamowanie przed bramą i druty kolczaste przecinają pasmo wyobraźni. Wszystko naraz staje się realne. Zandarm, z blachą na piersi. Deszczyk, który wciąż kropi. Ptaszek, który słusznie o tej porze domaga się wiosny: „tiń-tiń-tiń!” A ponad tym wszystkim straszliwy, dławiący odór trupi. (...) Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb (...) Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami to głową, sprasowane w trupim soku (...) martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakieś ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogostawiony wiatr odegnął na przeciwną stronę grobu odurzający śwąd. (...) I nawet na chwilę wyjrzało słońce (...) promienie tego słońca padły i zabłyśły nagle na złotym zębie czyichś tam, w głębi na wpół otwartych ust. (...) W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem.

W prozie artystycznej Mackiewicza środki takie zostaną rozbudowane, ale są podobne. Tak wygląda początek wojny światowej w *Sprawie pułkownika Miasojedowa*:

Na brzoźkach zaczęły już żółknąć listeczki, dalek stał się dywan wrzosu. Przed oczami migotał, unosił się to opadał rój komarów. (...) Łomot! Pocisk runął w to właśnie miejsce (...) Zabił trzysta komarów, dwie myszy polne, dwie glisty, tuzin czarnych żuczków, Michała Łukaszewicza, szeregowca...

Substancja reportażu nie jest dla Mackiewicza substancją anty-powieściową. Napisze przecież w przedmowie do powieści *Nie trzeba głośno mówić*:

Zastosowałem metodę wprowadzania postaci powieściowych w bezpośrednie zetknięcie nie tylko z autentycznymi wypadkami, ale też z autentycznymi ludźmi (...) surowe przestrzeganie podziału na „fiction” i „non-fiction” wydaje mi się anachronizmem.

To oczywiście w odniesieniu do powieści. Mackiewicz napi-

sze zresztą w przedmowie do *Sprawy pułkownika Miasojedowa*, że: *nie jest studium historycznym, jest powieścią o tym, co było*. Tak więc prozie artystycznej przyznaje się tu nawet jakby większą bliskość życia. Choć nie ma zapewne dla Mackiewicza innej różnicy między dwoma tymi gatunkami, prócz tego że studium historyczne powinno być bardziej kompletne w rejestracji faktów. Ale faktów nikomu nie wolno zmieniać. Chciałbym jednak przypomnieć polemikę Mackiewicza z Włodzimierzem Odojewskim.

Mackiewicz wytknął autorowi powieści *Zasypie wszystko*, zawieje nieściśłość pewnych realiów odnoszących się do Katynia. Jak wiadomo, bohater powieści Paweł, udaje się do Katynia, by szukać tam szczątków zamordowanego krewnego. Mackiewicz zwrócił uwagę, że inaczej niż u Odojewskiego ekshumacje nie odbywały się „w środku lata” (zakończono je w pierwszych dniach czerwca), las katyński odległy jest o 4 kilometry, nie zaś o kilometr od Gniezdowa. Wydobyte zwłoki chowano w kilku nowych grobach masowych (Odojewski pisze o wielkiej ilości pojedynczych mogił), na grobach masowych postawiono krzyże po zakończeniu ekshumacji (Odojewski wspomina o tablicy na każdej pojedynczej mogile). Inne szczegóły, na które zwrócił uwagę Mackiewicz są tego samego charakteru.

Choć dla powieści Odojewskiego szczegóły te nie miały zapewne większego znaczenia (zostały później częściowo przerezegowane), godzę się tutaj z argumentacją Mackiewicza. Tam gdzie chodzi o mityczne, a jednocześnie szczegółowo uznane i opisane, fotograficznie niemal, realia i wydarzenia historyczne, literatura powinna je relacjonować wiernie, a dla innych swych celów wciskać się w luki, zostawiające dosyć miejsca na mit, apokryf nawet. Mackiewicz: *Zupełnie nie widzę powodu odbiegania w twórczości literackiej od prawdy historycznej, żeby wywołać zamierzony efekt „prawdy artystycznej”*.

Ale Mackiewicz wie zarazem, że nie może być mowy o sprowadzeniu literatury do reportażu. Prawda czysto artystyczna, powieściowa jest niezbędna: *aby oddać tej prawdy — całość. Bo jakże w innej formie przedstawić nie tylko rzeczy, ale wyrazić stronę duchową (Geist), emocjonalną minionych zdarzeń? która bywa nie tylko drugą połową prawdy dokumentarnej, ale czasem nawet ważniejszą. Tego nie zastąpi najbardziej nawet precyzyjny,*

ale suchy zestaw faktów. (Literatura contra faktologia. Katyń [w] „Kultura”, Paryż 1973 nr 7–8.). Więc znów jakby pobrzmiwa nuta o wyższości literatury.

Brzmi to zresztą jak autokomentarz do własnych publikacji o Katyniu. A może i żal, że w tym, co on sam napisał na ten temat przez całe życie nie doszedł jednak do tej syntezy duchowego wrażenia, do której zdolna jest tylko literatura. Nie wiem, czy Mackiewiczowi, marzyła się książka artystyczna o Katyniu (fragmenty jej na pewno zostały utrwalone w tej materii reportażowej). Sądzić należy, że nie powstały jednak warunki do napisania takiej prozy, Katyń nie stał się bowiem za życia pisarza całością niejako zamkniętą i wyjaśnioną. Był wciąż faktem politycznym, uosabiając jedną z największych zbrodni wieku i międzynarodowe fałszerstwo. Wiedział Józef Mackiewicz jako autor *Sprawy pułkownika Miasojedowa*, że prawda nie od razu zwycięża, że racja stanu wystarcza do popełnienia zbrodni i zatuszowania prawdy.

Chcę tu postawić pytanie, na które nie ma pewnej odpowiedzi. Dlaczego, uważając prozę artystyczną za gatunek wyższy, nie pokusił się Mackiewicz o wyrażenie Katynia przez konstrukcję artystyczną, zawierającą owo *geistliches*? Czy nie dlatego, że wciąż musiał publiczystycznie walczyć przeciw fałszowi, popełnianemu w imię nie moralności, lecz cynicznego *modus vivendi*?

I jeszcze jedno: każdy pisarz zbiera materiały do powieści realistycznej, niezależnie od sposobu, w jaki to czyni: w postaci wyciągów historycznych, lektur, czy wewnętrznej tylko rejestracji faktów i przemyśleń. Każdy pisarz wie także, jak niebezpieczne jest dla przyszłego dzieła ujawnianie tych studiów nad nim, w formie poprzedzających właściwe dzieło publikacji cząstkowych. Wie, jak można nie napisawszy jeszcze — już się wypisać. Ale Mackiewicz rozumiał, że bezpośrednie świadectwo o Katyniu jest dla Polski zbyt ważne, aby łączyć je z fikcją. Dla niego byłoby to trudniejsze niż dla kogokolwiek innego. Zgodnie zresztą z analizowanym tu artystycznym credo pisarza Mackiewicz musiałby przenieść akcję swej — powiedzmy — powieści w rejony geograficzne czy socjologiczne sobie nieznane. A tego unikał. Zawsze zresztą swoją drogę pisarską znał podwójnym temperamentem: dziennikarza-publicyści i twórcy form artystycznych. Stąd dwie linie jego twórczości.

Pierwsza linia to pozycje takie jak: *Bunt rojstów*, *Kontra*, reportaże katyńskie rozpoczęte wywiadem: *Widziałem na własne oczy* i książką *Mordercy z lasu katyńskiego* oraz publicystyka w ścisłym tego słowa znaczeniu, jak książki o Watykanie i *Zwycięstwo prowokacji*. Linia druga to przede wszystkim: dylogia wojenna *Droga donikąd*, *Nie trzeba głośno mówić*, wreszcie *Sprawa pułkownika Miasojedowa* i *Lewa wolna*. Są to dwie różne linie, a przecież wiemy, ile te formy łączy, nie tylko to samo pióro. Łączy je niewątpliwie wkraczająca w prozę artystyczną Mackiewicza realistyczna wierność faktom i nieraz dyskurs publiczystyczny, gdyż prozę artystyczną miał Mackiewicz za formę synkretyczną.

Ale nie czujmy żalu z powodu nie napisanej przez Mackiewicza powieści o Katyniu. Gdyż powiew owego *geistliches* wkracza w reportaż publiczystyczny, a zwłaszcza czujemy ten powiew w opisie tragedii elity polskiej, wojskowej i umysłowej, której kres znaczyły doły Katynia i nieznane jeszcze Mackiewiczowi doły Charkowa i Miednoje.

Warto tu zauważyć, że wszystkie prawie książki Mackiewicza ukazują duch wojen i przemocy i mieszczą się także w dominacji związanych z historią militariów w jego prozie. Jednocześnie terenem ich dziania się — jak sygnalizowałem — jest obszar kresów polskich, a by rzecz ściślej: ta trwająca mimo podziałów, rozbiorów, zmiany epok i systemów trwałość pewnych cech na terytorium polskim kresowej Rzeczypospolitej, tej niezmiernej połaci cywilizacyjnej ziem zabranych i kresów polskich, nie naruszonych w pewnych cechach przez stulecia, i zniszczonych dopiero przez komunizm. Jeśli Mackiewicz wolał nazywać ten obszar Wielkim Księstwem Litewskim, miał powód po temu.

Jawi się w obserwacji spraw tego terenu Mackiewicz nie jako polski szlachcic czy polski nacjonalista lub odwrotnie, ludowiec, czy broń boże rewolucjonista, lecz tylko jako „człowiek stamtąd”, reprezentant wspólnoty, niejednorodnej oczywiście, naznaczonej jednak przede wszystkim przez czynnik polski. Ten czynnik Mackiewicz czuje i rozumie najsilniej, w jego także interpretacji z innymi etnicznymi społecznościami, tam ze sobą współżyjącymi. I przeżywa Mackiewicz ich katastrofę, załamanie się. Nie czuł tego załamania rozważając metody caratu (wrozumiałość wobec dawnej Rosji zbliża tu jakby Mackiewicza do Solże-

nicyna), bowiem apogeum nieludzkości nastąpiło po powstaniu czerwonego totalitaryzmu.

A jeszcze trzeba powiedzieć, że wszystkie gatunki pisarstwa Mackiewicza jednoczy i zespala jakby ten „uchwyt jednolitości”, jakim jest jego polszczyzna, z nalotem prowincjonalnym i kresowym. Ten prowincjonalizm kresowy, jak wiemy, wielki obejmuje nazwiska. Wszystko to razem każe również pamiętać, że ten, który mówi, nie tylko opowiada o ludziach „tutejszych”, ale sam tym człowiekiem „tutejszym” jest. Widać to wszystko choćby w tym reportażu *Dymy nad Katyniem*, gdy Mackiewicz opisuje swoją rozmowę z chłopami pracującymi przy ekshumacji:

Twarze ich ożywiają się znacznie, gdy bez tłumacza zwracam się do nich płynną ruszczyzną.

— *Wy co, będziecie Rosjanin?*

— *Nie, Polak.*

— *Aaaa...*

— *To lepiej czy gorzej?*

Uśmiechają się.

Jeden zaczyna opowiadać. Rzeczy znane. Nagle spór wynika, gdy chodzi o liczbę aut, które transportowały jeńców z Gniezdowa do Katynia.

— *Cztery — mówi opowiadający.*

— *Nie bresz! — zaprzecza grzebiący patykiem w ogniu. —*

Cztery „czernyje warony” (czarne kruki) były wszystkiego w smoleńskim NKWD. A jeździły tylko trzy. Czwarty zostawał w mieście. Przodem auto osobowe z enkawudzistami. A na samym końcu ciężarówka pod rzeczy. Tak było.

— *Ty może widziałeś trzy, a ja widziałem cztery.*

— *Ze strachu pewnie, żeby i ciebie na Kosogory nie zawieźli.*

Spór wydaje się nieistotny.

— *A to dawno tu już było miejsce kaźni, w Kosogorach, w Katyniu?*

— *Ooo ho-ho-ho!! — odpowiadają prawie chórem i milkną.*

— *Ale nie zawsze — dorzucił któryś po chwili.*

Jest to ten typ dialogu między ludźmi, który istnieje, jeśli istnieje to, co nazywa się wspólnym odczuwaniem. Dlatego pisarz polski dogaduje się przy ognisku w lesie katyńskim z rosyjskim chłopem Kisielewem. Obaj reprezentują tę samą starą kulturę kresową, choć języki mają inne.

Oczywiście obozy jenieckie dla oficerów polskich nie dotyczyły „ludzi stąd”, ale zbrodnia była kresowa, dokonała się, jak akt ostatni, w lesie Koźlińskich, na tamtejszym, jak zauważył Mackiewicz, „uroczysku”, w okolicy tychże Koźlińskich i Lednickich, w lesie podwójnej nazwy, Kose Góry lub Kozie Góry, tak charakterystycznej dla nazw „na terenie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego”. A mord na oficerach polskich ukazuje Mackiewicz równolegle z ukazaniem komunistycznej zbrodni, która niszczy duchową niezawisłość tych kresów, obyczaj lokalny, aż po fizyczne trwanie milionów ludzi. Ukazując zbrodnię w Proweniszkach i Berezwezu, w Ihumeniu i Lwowie, w Winnicy — jako tę samą zbrodnię, rozszerza Mackiewicz obraz zbrodni katyńskiej poza fakt historyczny izolowany. Dziś moglibyśmy dorzucić tu Kuropaty i inne miejscowości tych kresów. W ten sposób mord katyński jawi się na tle szerszym, obrazując jak „jądro ciemności” rozlewa się na całe obszary, niszcząc bezpowrotnie kulturę stuleci, nie należącą ani do Polaków, ani tylko do Rosjan, ani Ukraińców czy Białorusinów, Litwinów wreszcie, ale do ludzi całej formacji historycznej.

Bowiem komunistyczne jądro ciemności nie jest dla Mackiewicza wielkoruskie, choć nazaczy Rosjan na wiele pokoleń, jak hitlerizm Niemców — jest po prostu nieludzkie. Jest rakiem ludzkości. Zło, niestety, może być łatwe dla człowieka. Człowieka wykształconego, jakim był tak często nazi, czy ideolog komunistyczny, dlatego że wykształcony, i bliski prymitywnemu człowiekowi na Zachodzie i Wschodzie, dlatego że ciemny i niewykształcony.

Jednocześnie prawie nie kontynuuje Mackiewicz tej materii naszej spuścizny w historii kresowej, która ukazywała tak często właśnie etniczne, jak we wspomnianych tu szkicach Kubali czy Szajnochy, jak w dramatach ukraińskich Słowackiego czy powieściach Sienkiewicza — gdzie zło miało charakter opętania jakiejś społeczności w sporze i wojnie z drugą z powodów etnicznych, religijnych czy klasowych. To nie były zresztą czynniki nie istniejące w wieku dwudziestym i w czas drugiej wojny (te elementy są na przykład obecne w cytowanej powieści Odojewskiego). Jednak wobec komunizmu, te wszystkie sprawy przesuwają się dla Mackiewicza na plan dalszy. Komunizm jest czym innym. Jądro ciemności komunistyczne dla Mackiewicza dlatego jest ta-

kie straszne, że niszczy nie tylko poszczególnych ludzi i społeczności, niszczy bezpowrotnie całą kulturę. Razem z polskością, najbliższą sercu Mackiewicza. „Jądro ciemności” nie jest dziełem jednego opętanego człowieka, jak u Conrada, lecz całej antyludzkiej formacji i ideologii.

A kiedy mówię o zniszczeniu pewnej kresowej kultury, która składała się z wielu elementów narodowościowych, ale tworzyła też pewną, przenikającą wszystkich jedność, jakby normę, trzymam może w ręku klucz do tego składnika powieści Mackiewicza, którym jest tworzenie bohaterów prostych i niewyrafinowanych. Bo też Mackiewiczowi nie chodzi o starcie się z historią jednostki symbolicznej i wybitnej. Żadna z jego powieści nie dostarcza nam nowego Kmicica czy Wołodyjowskiego. Ani duchowych mocarzy, jak w kresowej prozie Tadeusza Micińskiego. Bohaterem jest tu pewna zbiorowość, niby przeciętna, w której jednak każda jednostka nadawała się jakby do powieści. Zaś Katyń był dla Mackiewicza i symbolem, i konkretem zagłady zbiorowości dlatego, że składała się ona z indywidualów, z których każdy został osądzony indywidualnie i zginął dlatego — jak dziś dobrze wiemy — że był tym, kim był. Więc także indywidualizm ludobójstwa, tak odróżniający komunistów od nazi, pierwszy zauważył Mackiewicz:

Nie są to trupy anonimowe. Tu leży armia. Można by zaryzykować określenie — kwiat armii, oficerowie bojowi, niektórzy z trzech uprzednio przewalczonych wojen. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w tej potwornej masie. Bo to nie jest masowe zagazowanie, ani ścięcie seriami karabinów maszynowych, gdzie w ciągu minuty czy sekund przestają żyć setki. Tu przeciwnie, każdy umierał długie minuty każdy zastrzelony był indywidualnie, każdy czekał swojej kolejki, każdy wleczony był nad brzeg grobu: tysiąc za tysiącem.

Głęboką i dokładną obserwację komunistycznej, a właściwie bolszewickiej moralności i etyki przedstawił Mackiewicz w eseju, *Jak marszałkowie Timoszenko i Szapornikow oszukali gen. Langnera*. Niewielki ten tekst jako zapowiedź przygotowanej do druku książki pragnę przytoczyć w całości:

Generał Langner nie poddał Lwowa Niemcom. Gdy jednak z drugiej strony, od wschodu, w sukurs armii niemieckiej nade-

szła armia sowiecka, sytuacja wytworzyła się oczywiście kompletnie beznadziejna. Niemcy po nadejściu bolszewików zrazu wycofali swój wschodni pieczęć oblężenia, następnie ustąpili całkowitą inicjatywę Armii Czerwonej.

Dzień 21 września 1939 r. był dziesiątym dniem oblężenia, bez jakiegokolwiek widoku powodzenia dla obrońców, a wobec zamknięcia całego kraju dalsza walka nie miała wartości strategicznej. Broniono się z nawyku, z poczucia żołnierskiego honoru. — Właśnie w południe tego dnia zabielała przed liniami polskimi flaga parlamentariuszy sowieckich. Oficerowie bolszewicy uśmiechali się dobrotliwie i dawali do zrozumienia, jakoby cała ta walka pomiędzy Armią Czerwoną i [armią] polską stanowiła jedynie wynik jakowegoś tragicznego nieporozumienia.

Na czele delegacji sowieckiej przybył osobisty przedstawiciel marszałka Timoszenki, generał Iwanow, w asyście kilku wyższych oficerów i zażądał bezpośredniej rozmowy z dowódcą obrony Lwowa. — Generał Langner, w towarzystwie generała Rakowskiego, majora Jawicza i kapitana Czychiryna, podjął się rokowania, zaznaczając, że wobec bezcelowości dalszego przelewu krwi, gotów jest kapitulować, ale...

— Ależ naturalnie! — podchwycił gen. Iwanow. — Ja z góry wiem, co pan chce powiedzieć. Upoważniony jestem przez generała Timoszenkę — tu z lekka pochylił głowę — do zakomunikowania panom, że warunki kapitulacji będą jak najbardziej łagodne i honorowe.

— Co pan nazywa honorowe?

— Ja? Hm... a przy jakich panowie obstają?

— Jeżeli chce pan odpowiedzi ostatecznej i skonkretyzowanej w punktach, musimy się uprzednio naradzić.

— Nie trzeba. Ja w imieniu generała Timoszenki proponuję panom: wszyscy żołnierze i oficerowie po złożeniu broni będą wolni i będą mogli udać się do domów, albo jak zechcą, na granicę rumuńską i węgierską, skąd mogą się przedostawać na własną rękę do Francji, do nowo organizowanej armii polskiej. Więcej powiem: ci, którzy zechcą wrócić do domu, otrzymają ze strony władz radzieckich wszelką pomoc, środki lokomocji i żywność na drogę.

O lepszych warunkach nie można było oczywiście marzyć.

Umowa została podpisana. Kapitulacja nastąpić miała nazajutrz, dnia 22 września, o godzinie 3 po południu.

Gdy generał Langner przechodził korytarzem gmachu Dowództwa Okręgu Korpusu Lwów, jakiś głos zduszony odezwał się z mroku:

— Generale! Oni nie dotrzymają żadnych warunków. Oni nas wszystkich wymordują jak psów...

Generał nic nie odpowiedział. Może nie słyszał? W ciemnym korytarzu zacichały kroki jego butów, wraz z lekkim pobrzękiem ostróg.

Naiwność, łatwowierność? Czyżby nie znany był generałowi tekst odezwy, skierowanej do żołnierzy polskich, przez tegoż samego Timoszenkę, w imieniu którego przemawiał gen. Iwanow? — Odezwa ta nieznaną była w oblężonym Lwowie. Czas był odmierzony. Czasu było mało. — A nazajutrz już było za późno.

Gdy wszyscy oficerowie polscy, w myśl rozkazu, po złożeniu broni w gmachu DOK, wymaszerować mieli w zwartych szeregach z miasta ulicą Łyczakowską w stronę Winnik, skąd ruszyć zamierzali na granicę rumuńską — otoczył ich nagle kordon wojsk sowieckich z bronią gotową do strzału i nasadzonymi bagnietami.

— Maszerrować! — i popędzono wszystkich w kierunku rogatki miejskiej.

— Co to ma znaczyć!? — zaprotestował generał Langner wobec generała Iwanowa. — A gdzie wykonanie warunków?!

— Ach, niech się pan nie przejmuj! Warunki wykonane będą co do joty. Tu chodzi o własne dobro oficerów. O ich bezpieczeństwo. Uniknięcie nieporozumień z naszymi oddziałami po drodze, różnymi bandami, czas wojenny... pan mnie rozumie? Pójdziecie panowie do Tarnopola najpierw, a stamtąd jak ustalono: kto do domu, kto przez granicę.

Tarnopol.

Małe miasto w południowo-wschodniej części Polski. Kolczaste druty. Wszystkich oficerów traktują jak jeńców. Złe przeczucie coraz głębiej zakrada się w serce, ale nikt jeszcze nie śmie przed sobą samym, a cóż dopiero głośno wobec towarzyszy, siać zwątpienia i defetyzm. Jakżeby to była możliwa podobnie

potworna zdrada? — I ludzie zapominają o doświadczeniach, o faktach, o umowach poważniejszej treści, które zostały zdeptane, podarte, poszły w niepamięć, jak pójdą liście, które tu spadając, szmerzą dziś pod nogami, zgniją przez zimę, a wiosną ich już nie będzie. Ludzie wierzą zazwyczaj w to, w co chcą wierzyć.

Dnia 24 i 25 września gen. Langner domaga się wyjaśnień, wypuszczenia wszystkich na wolność, rozmowy z samym Timoszenką. Istotnie, Timoszenko zgłasza się przy telefonie:

— Owszem, wiem o wszystkim. Umowa będzie dotrzymana, hm, niewątpliwie... Ale zachodzą pewno okoliczności... ja też jestem zależny od Moskwy... Ja się postaram wyekspediować pana generała osobiście i bezpośrednio do Moskwy, dobrze?

— Bardzo bym o to prosił.

— Doskonale.

Mija następny dzień i jeszcze następny. Trzeci się wlecze jak plucha po mokrej ścianie więziennego baraku. Ale istotnie: dnia 28 września gen. Langner, w towarzystwie gen. Rakowskiego i mjr. Jawicza, siadają do samolotu. Śmigła zapuszczone. Kłania się od wiatru trawa i marszczą się kałuże wody deszczowej. W powietrzu. Lot trwał długo i był męczący. Rzuciło, chmury, słaba widoczność. Wreszcie Moskwa. Ta sama Moskwa, która... ech, lepiej nie myśleć. Ale droga oficerów polskich nie prowadzi do Moskwy. Z lotniska wiozą ich do miejscowości Kunczewo, położonej o godzinę jazdy od stolicy. Tu dom osobny, otoczony mocnym parkanem. Rodzaj „daczy” rosyjskiego stylu, a wokół straż w uniformach NKWD, przy pistoletach na pasie. Znowu dni się wloką. Znowu jesienny deszcz dzwoni o szyby, choć właściwa jesień dopiero się zaczyna. — Tymczasem, w kraju, tysiące jeńców czekają na rozstrzygnięcie swego losu. Ale czy czekają jeszcze? Co się z nimi właściwie dzieje? Czy te pertraktacje nie zakrawają raczej na jakieś kpiny, bo niby po co ta zwłoka? Mija jeden, drugi, trzeci dzień na daremnym wy-czekiwaniu. Wreszcie czwartego dnia podjeżdża elegancka limuzyna.

— Dokąd mamy jechać?

— Generał Szaposznikow prosi.

Generał Szaposznikow, ten sam słynny generał sowiecki, wsta-

wiony pierwszą kampanią fińską, późniejszy szef sztabu generalnego, uśmiecha się zza biurka, wstaje, obchodzi go i wita się grzecznie, zapytując na wstępie:

— Panowie palą? Proszę bardzo. — Podsuwa najlepsze papierosy z tego gatunku, który jest dotępny tylko jednej setnej części procenta obywateli sowieckich. — Słyszałem właśnie — mówi, gładząc wierzchem dłoni wygolone policzki — słyszałem, że panowie przylecieli. Czem mogę służyć? — I odchyła się w wygodnym fotelu, puszcza dym, opiera rękę na poręczu. Tak, ot sobie normalnie, pogodnie. Jasny dzień wpada przez okno. Dziś nie pada. Białe obłoczki toczą się po sinym niebie.

Oficerowie polscy są zmęczeni i przytłoczeni. Ich mundury wymięte. Ich ojczyzna stratowana... On „słyszał”...

— Chciałem przypomnieć panu generałowi o warunkach kapitulacji — mówi gen. Langner — jakie podpisaliśmy z przedstawicielem generała Timoszenki. Domagamy się ich spełnienia.

Wówczas Szaposznikow pochyla się z lekka ku przodowi i odpowiada uroczyście wyraźnym głosem, a nawet bierze ze stołu ołówek i podkreśla każde słowo mocnym uderzeniem jego tępego końca:

— Wszystkie warunki będą dotrzymane. Cały świat, proszę panów, wie o tym, że nikt tak jak Związek Sowiecki nie potrafi dotrzymywać raz podjętych umów.

— Kpiny? — Nie, patrzy prosto w oczy, wzrokiem, w którym czai się zmęczenie, ale nie można dostrzec śladu ironii.

Nastała cisza. Cisza z tej kategorii, o której się zwykło mówić, że dzwoni w uszach. Toteż obecni drgnęli nagle, gdy otwarto się drzwi gabinetu, jakkolwiek otwarto się one również bardzo cicho. W progu stanął człowiek, w mundurze, ze wzrokiem wlepionym pytająco w generała Szaposznikowa.

— Panowie pozwolą herbaty? — spytał generał.

— Nie, dziękujemy.

Szaposznikow machnął ręką, uzbrojoną w ołówek, postać znikła, drzwi się zamknęły.

— Tak, ot więc. — Podjął z westchnieniem. — Ta sprawa załatwiona. Ale ja mam... to jest właściwie chciałem zapytać przy okazji... — Tu spojrzął na Langnera. — Pan generał zna dobrze dawne fortyfikacje polskie na byłej granicy, prawda? Pro-

szą mi powiedzieć... i spod akt, leżących na stole, wyciągnął mapę.

— Czyż mógłbym coś więcej wiedzieć dziś niż to, co panowie wiedzą sami? — odpowiada Langner. — Wszystkie forty są przecież w waszych rękach. Ja na pewno ich tak dobrze znać nie mogę, jak wy je znacie.

— Hm, to prawda. — Szaposznikow zniechęconym ruchem odrzuca mapę i wydaje się nagle, że przedmiot przezeń poruszony miał być tylko zagajeniem jakiejś innej rozmowy. Jakiej? Do niej nie dochodzi. Pyta natomiast:

— Czy mają panowie jeszcze jakieś sprawy, żądania?

— Nic więcej. Chcieliśmy tylko interweniować w sprawie przyspieszenia wykonania warunków umowy i wypuszczenia na wolność wszystkich oficerów i żołnierzy, jak to było przewidziane.

— Ja też nic więcej nie mogę powiedzieć ponad to, co powiedziałem — rozkłada ręce Szaposznikow. — Ze swej strony daję słowo, że wszystko będzie w najlepszym porządku. Panowie powrócą i sami się przekonają na własne oczy. Być może wasi ludzie są już wolni w tej chwili.

Tymczasem powrót oficerów polskich znów się przedłuża o kilka dni. Sprawa władzom sowieckim nie wydaje się być tak pilną, jak generałowi Langnerowi. — Lot powrotny do Lwowa odbywa się w lepszych warunkach atmosferycznych, ale pasażerowie, wyczerpani nerwowo, przeocząją niektóre widoki, jak na przykład linię kolejową, biegnącą od dawnej polskiej stacji granicznej Zdołbunów-Szepietówka, która z góry wygląda jak cienka niteczka. A szkoda. Gdyby się przyjrżeli baczniej, dostrzegliby niewątpliwie długie gąsieniczki wagonów towarowych, sunących w kierunku Berdyczowa i Kijowa, a za nimi pasmo dymów od lokomotyw, które je ciągną z wysiłkiem. Co może być w tych wagonach? Towary, maszyny wywożone z Polski? Nie dojrzeć wprawdzie z tej wysokości, nie przebić wzrokiem dachu, ale domyśleć się było można, czy nie?... Nie! Oficerowie polscy, choć są zmęczeni i zdenerwowani, ale w gruncie dobrej myśli. Wiozą ze sobą przecież uroczyste słowo generała Szaposznikowa.

Można więc sobie wyobrazić ich zdumienie, gdy we Lwowie dochodzi ich wieść, że znaczne kontyngenty rozbrojonych ofice-

rów i żołnierzy polskich już są po cichu wystane, rzekomo w głąb Rosji! — Generał Langner nie daje tym pogłoskom wiary:

— To tylko „rzekomo” — mówi — to nie może być prawdą. Przecież mamy umowę na piśmie. Przecież mamy zapewnienia generała Timoszenki i słowo generała Szaposznikowa!

— Niech pan sprawdzi, generale — odpowiada informator. A sprawdzić można łatwo, gdyż właśnie we Lwowie mieści się obecnie sztab Timoszenki. Generał Langner, który korzysta jeszcze z prawa wolnego poruszania się po mieście, udaje się tam natychmiast. Timoszenko nie odmawia audiencji, ale wyjaśnia grzecznie:

— Co do wykonania warunków umowy, nie otrzymałem jeszcze instrukcji z Moskwy.

Nazajutrz:

— Nie mogłem uzyskać połączenia z Moskwą.

Na trzeci dzień:

— Proszę zaczekać kilka dni.

Po kilku dniach:

...Generał Langner zostaje aresztowany w swym mieszkaniu, a przed drzwiami postawiona straż NKWD.

Żaden z warunków podpisanej umowy nie został dochowany przez stronę sowiecką. Większość rozbrojonych żołnierzy, wszyscy oficerowie, wszyscy funkcjonariusze policji i cała żandarmeria wojskowa oraz ludzie z Korpusu Ochrony Pogranicza, wepchnięci zostali do bydłocych wagonów i wywiezieni w głąb Rosji. Nie były to zatem warunki przewidziane w umowie, ale warunki w jakich traktuje się gdzie indziej najgorszych przestępców: poganiani kolbami i bagnetami, w ciasnocie, brudzie, głodzie i straszliwie spragnieni, jechali na wschód do nieznanego celu. Tylko nielicznym udało się zbiec. W tej liczbie samemu generałowi Langnerowi, który w przyszłości przedostanie się do Rumunii.

Tak się zakończył pierwszy akt dramatu.¹

Ów szkic Mackiewicza nie jest źródłem historycznym, ale częścią polskiej prozy, fragmentem nie napisanej powieści o Katyniu. I pomyśleć: nikt dotąd nie zebrał tego w całość, a polski tekst książki *Mordercy z lasu katyńskiego* — leżał nie wydany przeszło czterdzieści lat. Ale u nas wyżej się ceni

abstrakcje Gombrowicza czy przeciętność *Doliny Issy*. Za sto lat, gdy nas już nie będzie, trafią także te fragmenty Mackiewicza o Katyniu do antologii prozy polskiej. Wcześniej nie. Obym się mylił.

Przypisy

¹ Publikowany powyżej tekst jest trzecim rozdziałem książki Józefa Mackiewicza *Mordercy z lasu katyńskiego*, przygotowanej do druku na podstawie nigdy nie publikowanego po polsku maszynopisu książki, znajdującego się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Dziękuję Instytutowi za udostępnienie mi tego materiału.